

Aleksandra Wysocka

ROOK RAKA



Moja onkohistoria.
Podróż bez planu,
mapy i przewodnika

ROK
RAKA

ROK RAKA

Aleksandra Wysocka

ringier
axel springer

Rok Raka

Copyright © by Aleksandra Wysocka, Warszawa 2026

Copyright © by Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

Warszawa 2026

Redaktor prowadząca: Marta Nowik

Redakcja: Katarzyna Łopaciuk

Korekta: Iwona Krakowiak-Romaniuk

Projekt okładki: Tadeusz Szlaużys

Skład i łamanie: Tadeusz Szlaużys

Ilustracja na okładce: Adobe Stock

ISBN 978-83-8250-682-2

Bezpieczeństwo produktu: GPSR@ringieraxelspringer.pl

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

02-672 Warszawa

ul. Domaniewska 49

www.ringieraxelspringer.pl

Książkę można zamówić przez internet: www.literia.pl

Druk: Drukarnia im. A. Półtawskiego, Kielce

„Nie panikuj”.

Douglas Adams
Autostopem przez galaktykę

Pomyśl o kobietach, które znasz. Koleżanki z pracy, przyjaciółki, krewne. Jedna na osiem z nich zachoruje na raka piersi. Teraz pomyśl o znajomych facetach. Jeden na ośmiu usłyszy diagnozę raka prostaty. Szacuje się, że przynajmniej co trzecia osoba zachoruje na raka. Co czwarta umrze. Tylko od pięciu do dziesięciu procent nowotworów jest uwarunkowanych genetycznie. Reszta to wiek, styl życia, czynniki środowiskowe. Pech.

Taki pech spotkał mnie. Miałam czterdzieści pięć lat, byłam w życiowej formie. Gdy usłyszałam diagnozę, nie wiedziałam, co mnie czeka.

Mówi się, że rak to nie wyrok, ale nie wiem, czy jest na tym świecie ktoś, kto nie bał się, usłyszawszy słowo „nowotwór”. A strach i niepewność nie są najlepszymi towarzyszami na drodze do zdrowia.

Dlatego piszę tę książkę. Chciałabym móc ją przeczytać na początku mojej onkdrogi. Chciałabym, by przeczytali ją moi bliscy. Może tak bardzo byśmy się wtedy nie bali.

PROLOG

„Paszczak obudził się powoli
i gdy tylko stwierdził, że jest sobą,
zapraǳnął być kimś innym,
kimś, kogo nie znał”.

Tove Jansson

Dolina Muminków w listopadzie

Na coś trzeba umrzeć – mawiał mój ojciec, odpalając kolejnego papierosa. Gdy byłam mała, przywoziłam mu z kolonii kiczowate popielniczki z wymalowanym błagalnym hasłem: „Tato, nie pal”. Było to równie nieskuteczne, co późniejsze nastoletnie metody: awantury i wywalanie fajek przez okno. Wprawdzie statystyki były nieubłagane – w jego rodzinie, gdy ktoś był palaczem, należało w okolicach pięćdziesiątki zacząć pisać testament albo chociaż wspomnienia – ale on nie podejmował się zadań z góry skazanych na porażkę. Na przykład rzucenia palenia. Na coś trzeba umrzeć.

Majątku do podziału niestety nie miał, więc zamiast ostatniej woli tuż po pięćdziesiątych urodzinach zaczął pisać instrukcje. Był zodiakalną Panną, poukładany i do bólu pragmatyczny. Na list pożegnalny poświęcił zaledwie piętnaście linijek. Pozostałe dwanaście stron zawierało szczegółowe informacje dotyczące tak istotnych kwestii, jak formalności w ZUS-ie, w banku i administracji, przerejestrowanie i ubezpieczenie samochodu, a także wskazówki, do kogo należy dzwonić, kiedy zepsuje się pralka.

Rak dopadł go niby znienacka, ale jednak nie. Trafił do szpitala na początku wakacji z perforacją żołądka. Wypisywali

go i znów przyjmowali, przez całe lato szukając przyczyny jego zdrowotnego rollercoastera, bo że to nie wrzody są jego głównym problemem, jakoś wszyscy przeczuwali. Z kolejnych rentgenów nic nie wynikało, aż w końcu, gdy przestał ruszać ręką, wysłali go na tomografię. Zamiast wyników dostaliśmy informację, że trzeba powtórzyć badanie, ponieważ wyszedł jakiś obrzęk. Rodzice wysłali mnie, żebym dopytała o szczegóły, i pamiętam dokładnie, jak piętnastego sierpnia roku pańskiego dwa tysiące ósmego, w święto matki boskiej rakoskiej, lekarka złapana przy wyjściu z kibla ze wzruszeniem ramion objawiła mi, naiwnie wierzącej w potęgę medycyny, że „nie wie, czy to do leczenia, czy od razu do hospicjum”, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła, zostawiając mnie, trzymającą się kurczowo parapetu, bo nagle zrobiło mi się białło przed oczami i ledwo łapałam pion.

Drobnokomórkowy rak płuc, przerzut do mózgu – tak brzmiał wyrok.

Kilka dni później zadzwonił do mnie przerażony, bo spuchły mu stopy, a w naszej rodzinie stopy puchną dzień przed śmiercią. Wtedy nagle się okazało, że może i na coś trzeba umrzeć, ale on by wołał jednak na coś innego albo przynajmniej jeszcze nie teraz.

Umarł dwa tygodnie po diagnozie spod toalety, dwa dni po moim ślubie. Widzieliśmy się w niedzielę. Przywieźliśmy jedzenie, które zostało z wesela, wypiliśmy herbatę i pożegnaliśmy się. W poniedziałek rano mieliśmy z Pawłem, moim świeżo upieczonym mężem, lecieć do Hiszpanii w podróż poślubną, a on był umówiony na pierwszą wizytę u onkologa. Niedługo po naszym wyjściu zabołała go głowa.

Mama zadzwoniła po pogotowie. Ratownicy powiedzieli, że na wszelki wypadek wezmą go na obserwację do szpitala. Do karetki zszedł o własnych siłach, godzinę później już nie żył.

Moja matka nie miała tyle szczęścia. U niej od diagnozy do śmierci minęły trzy pełne cierpienia lata.

Jako że oboje umarli pod koniec szóstej dekady życia, ja również nie planowałam dłuższej przygody na tym łożu pa-dole. Mimo to starałam się żyć choć trochę zdrowiej niż oni, a przynajmniej regularnie się badać i nie palić. A jednak, gdy tylko skończyłam czterdzieści pięć lat, coś zaczęło szwankować. Najpierw, jeszcze jesienią, zaczęło mnie boleć biodro *slash* pośladek. Ból z dnia na dzień robił się coraz bardziej nie do zniesienia, nie pozwalał siedzieć ani leżeć, wybudzał w nocy i doprowadzał do czarnej rozpacz. Jedyne, co poma-gało, to chodzenie, ale nie da się spać, chodząc. Sprawdzałam.

Przestałam biegać i zrezygnowałam z basenu, zaczęłam tour po specjalistach, wśród których byli ortopedzi, trenerzy, masażyści, fizjoterapeuci i osteopaci, neurochirurgka i reu-matolożka. Zrobiłam rentgen, dwa rezonanse i liczne ba-dania krwi, testowałam kolejne leki, wykluczyłam choroby reumatologiczne, zdiagnozowałam przepuklinę w kręgosłupie. Dostałam skierowanie na operację, z którego za radą większości odwiedzonych specjalistów nie skorzystałam. Zaliczyłam cztery tygodnie rehabilitacji zleconej na *cito* na NFZ (czasem warto popłakać się u lekarza). Zakumplowa-łam się z fizjoterapeutą, zaczęłam chodzić na długie space-ry i bywać prawie codziennie na jodze, pilatesie i zajęciach „Zdrowy kręgosłup”, raz w tygodniu grałam w siatkę.

I jednocześnie łykałam garściami silne środki przeciwbólowe, które w ilościach hurtowych przepisywali mi kolejni lekarze, a które niestety nie działały, i spałam po cztery godziny na dobę. Ból nie pozwalał na więcej.

Równolegle, jak to w życiu bywa, nabierało się trochę gruzu. W normalnych warunkach pewnie byłby do udźwignięcia, ale przy notorycznym niedospaniu okazał się ponad moje siły. I nawet nie chodzi o bycie matką dwojga nastolatków.

Na bliską mi osobę spadło ogromne nieszczęście, a ja, nie mogąc patrzeć na jej cierpienie, próbowałam ją ratować, pogrążając się coraz głębiej w nie swoim dramacie. Przerosła mnie moja empatia i bezradność, wciągnęła lodowata, ciemna otchłań.

W styczniu zaliczyłam wyjazd, na który cieszyłam się od listopada. Zmiana szaroburej zimowej Polski na słoneczną Andaluzję jest czymś, o czym marzę co roku, a jednak tym razem wyprawa skończyła się całkowitą porażką i była początkiem końca wieloletniej przyjaźni. Nie będę wchodzić w szczegóły, na pewne rzeczy lepiej spuścić zasłonę milczenia.

Dość powiedzieć, że z Hiszpanii wróciłam w kompletnej rozsypce. Potem było już tylko gorzej.

Jakoś w lutym uświadomiłam sobie, że zlekceważyłam wszystkie przypominalki w kalendarzu. Zwykle coroczne przeglądy zdrowotne robiłam w styczniu. Resztką sił dowlekłam się na kontrolę do ginekolożki, u której jak zwykle usłyszałam, że wszystko działa jak w zegarku, ale już gdy próbowałam umówić się na USG piersi, okazało się, że facet, do którego chodziłam od dziesięciu lat, przestał przyjmować.

A ja nie byłam w stanie umówić się gdziekolwiek indziej. Podjęcie jakiegokolwiek decyzji kompletnie mnie przerastało.

Odpuściłam.

Płynęły miesiące, a ja osuwałam się w czarną dziurę. Źle spałam. Wszystko smakowało jak tektura. Darłam się na dzieci. Płakałam po kątach.

I w ten sposób przyniesiona życiem tuż przed wakacjami doczołgałam się do przemiłej psychiatrki, która wypisała mi receptę na antydepresanty i leki nasenne. W sumie to najpierw poszedł do niej Paweł. Po powrocie znalazł w internecie test, który kazała mu zrobić, a z którego, jak opowiadał mi podekscytowany, wyszła mu lekka depresja.

Mnie wyszła ciężka.

Kilka tygodni później kręgosłup nadal bolał, ale świat stał się nieco bardziej przyjazny, a ja przestałam płakać. W sierpniu pojechaliśmy kamperem do Rumunii. Chodziliśmy po górach, zwiedzaliśmy drewniane cerkwie, wieczorami popijaliśmy białe wino, wpatrując się w niebo gęsto usiane gwiazdami. Właśnie tam, gdzieś na przełęczy Prislop, znowu poczułam, że żyję.

JESIEŃ

„W gruncie rzeczy wszyscy chcieli w to
wierzyć. Że co za dużo. Że nic dwa razy.
Że w leju po bombie najbezpieczniej.
Że kwota nieszczęść i katastrof została
wyczerpana, może nie na zawsze, ale na
długo. Jeszcze nie musimy się martwić”.

Marcin Wicha
Rzeczy, których nie wyrzuciłem

P o powrocie z urlopu rzucam się w wir zaległych badań kontrolnych. Idę do dentysty, okulistki i pulmonolożki, badam pieprzyki i tarczycę, na której wychodzą mi jakieś guzki. Dostaję skierowanie na biopsję, ale pani doktor uspokaja, że to tylko na wszelki wypadek i że mnóstwo ludzi ma guzki na tarczycy, nie mam się czym przejmować.

We wrześniu trafiaam na USG piersi. Na to badanie akurat zawsze bardzo lubiłam chodzić, bo wprowadziłam zakładam, że umrę młodo i na raka, ale nie aż tak młodo i nie na tego. Ani w rodzinie nikt go nie miał, ani badanie genetyczne, które zrobiłam kilka lat wcześniej, nic podejrzanego na tym odcinku nie wykazało. Mimo wszystko intuicja podpowiada mi, że warto się badać nawet na to, na co nie planuję umrzeć.

Pani przykładą głowicę do mojej prawej piersi. Marszczy brwi. Wykręcam głowę, żeby popatrzeć na czarny ekran upstrzony białymi chmurkami. Przejeżdża kilka razy, dociskając jak na mój gust trochę za mocno. Zaznacza coś i zaczyna mierzyć.

– Będzie potrzebna biopsja – mówi w końcu. – Dobrze, że pani do mnie trafiła, bo ja oprócz tego, że robię USG, to jestem ginekologiem-onkologiem – papla, a ja się zastanawiam, czy lekarki kiedyś w końcu się przekonają do

feminatywów, i zerkam ukradkiem na zegarek, bo nie chcę się spóźnić na pilates. – Proszę jak najszybciej umówić się na biopsję. Koniecznie gruboigłową. I jeszcze przed biopsją na mammografię.

– Na mammografię? – protestuję nieśmiało. – A samo USG nie wystarczy? Zawsze słyszałam, że przy mojej budowie USG jest skuteczniejsze, a mammografię to w ogóle dopiero po pięćdziesiątce, a ja mam czterdzieści pięć lat...

– Zmieniły się zalecenia, teraz od czterdziestego piątego roku życia, a nie od pięćdziesiątego. – Lekarka nie daje się przekonać. – Poza tym te wyniki koniecznie muszą być przed biopsją. Jakby pani nie wiedziała, co dalej, to proszę do mnie wrócić, pokieruję panią – mówi na pożegnanie, a ja dziękuję, kitram w plecaku opis badania i skierowanie i idę jakby nigdy nic na trening.

Zupełnie się nie przejmuję. Zawsze miałam skłonność do niewielkich torbieli, które pojawiały się i znikają. Ale żeby od razu biopsja? Pani doktor jest chyba trochę nadgorliwa.

Mimo wszystko następnego ranka dzwonię, żeby umówić się na mammografię. Termin jest na jutro. No i dobrze, chcę jak najszybciej zakończyć rozdział „badania kontrolne 2024”.

Znudzone panie w rejestracji sprawiają wrażenie urzędniczek z zapomnianego pokoiku na końcu korytarza, zdziwionych na widok zagubionego petenta.

– Tyle się nasłuchiłam, że to takie nieprzyjemne badanie, że tak strasznie boli, a w sumie to miewałam w życiu gorsze – mówię kilka minut później, ubierając się.

– Oj tak, tak się wszędzie straszy i potem pacjentki się boją do nas przychodzić – mówi techniczka, która chwilę

wcześniej miażdżyła moje piersi w prasie hydraulicznej. – Wysyłamy SMS-y, program jest darmowy, terminy szybkie, a zainteresowanie słabiutkie.

– A kiedy będzie wynik? – pytam już z ręką na kłamce.

– Przy BI-RADS 5 staramy się, żeby był jak najszybciej – odpowiada z zatroskaną miną, wpatrując się we mnie uważnie.

Robi się trochę niezręcznie. Jeszcze raz dziękuję, żegnam się, wracam szybko do samochodu i wrzucam w wyszukiwarkę hasło BI-RADS 5.

„Klasyfikacja BI-RADS określa kategorie zmian. Piątka wskazuje na ponad 95-procentowe prawdopodobieństwo, że rak jest złośliwy...”

Robi mi się słabo. Z trudem łapię powietrze przez zaciśnięte gardło. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że to może być coś poważnego. I ten BI-RADS, żeby jeszcze pięćdziesiąt, sześćdziesiąt procent, ale dziewięćdziesiąt pięć? I bez pięciu lat studiowania socjologii byłoby dla mnie oczywiste: statystyka nie jest po mojej stronie.

Łzy płyną mi szerokim strumieniem, z gardła wyrывa się niekontrolowany szloch, a serce wali jak po długim biegu, gdy przebijam się Wisłostradą przez warszawskie korki w stronę Żoliborza. Nie wierzę, że to się dzieje. Przecież nic mnie nie boli, nic nie wyczuwam. Świetnie się czuję (o ile oczywiście nie liczyć tego cholernego kręgosłupa). Kipię energią. Może jak udam, że nic się nie wydarzyło, to samo się wchłonie? Nie, to głupie. Strząsam z siebie tę pokusę. Gdy dojeżdżam do domu, żałuję przez chwilę, że nie mamy w zwyczaju pić mocnych alkoholi – może po setce wódki

albo lampce koniaku oddychałoby mi się jakoś łatwiej. Zamiast tego kucam z głową między kolanami, zamykam oczy i biorę kilka głębokich wdechów. Gdy już uspokoję oddech, robię sobie mocną herbatę, odpalam laptopa, wpisuję w wyszukiwarkę „biopsja gruboigłowa nfz” i po kolei dzwonię. Wiem tylko, że nie chcę iść do Centrum Onkologii, pardon, Narodowego Instytutu Onkologii, największego szpitala onkologicznego w Polsce – z całym szacunkiem do specjalistów tam pracujących, ale podczas trzech lat chorowania mojej mamy spędziłam na tamtejszych ciemnych, smutnych korytarzach długie godziny i wiem, że nie jest to moje ulubione miejsce.

W pierwszym szpitalu z listy w wyszukiwarce robią tylko biopsje cienkoigłowe.

W drugim – takie, jakich szukam, ale trzeba mieć skierowanie od ich lekarza, co już na początku wydłuża całą zabawę o jakiś miesiąc. Nie chcę czekać.

W trzecim szpitalu koordynatorka leczenia onkologicznego umawia mnie na termin za dwa tygodnie.

Dzwoni dzień przed zabiegiem i pyta, czy mogę przyjechać dwie godziny wcześniej. Pewnie, nie ma problemu. Przyjeżdżam, siadam w korytarzu i zaczynam wpadać w panikę. Paweł szuka miejsca parkingowego, więc mogę się spokojnie użalać nad sobą, skupić na najczarniejszych scenariuszach i przetykaniu łez. W pewnym momencie dostrzegam, że po korytarzu kręcą się jacyś ludzie, którzy ewidentnie są tu z mojego powodu. „Czy jest już doktor?”, „Czy to jest ta pacjentka?”, „Czy ktoś już z nią rozmawiał?” – docierają do mnie strzępki rozmów. No pięknie.

Umieram, to kwestia godzin, tylko nie ma chętnego, żeby mi to powiedzieć.

W końcu podchodzi do mnie elegancka blondynka.

– Dzień dobry, Urszula Rogala, Studiomed TV. Mam nietypowe pytanie, a zarazem prośbę. Jak pani zapewne wie, październik jest miesiącem świadomości raka piersi. Kręcimy reportaż na ten temat i chcielibyśmy nakręcić pani biopsję. Czy zgodzi się pani?

Przed oczami staje mi inny materiał, nagrany kilka tygodni wcześniej na oddziale chemioterapii dziennej w Centrum Zdrowia Dziecka na potrzeby fundacji, w której pracuję. Przekazaliśmy szpitalowi gogle do VR, żeby dzieciaki na onkologii lepiej znosiły wkłucia; wirtualna rzeczywistość przenosi je na bajkową wyspę, a dzięki odwróceniu uwagi nie czują bólu i strachu. To się chyba nazywa ironia losu. No cóż, nie mogę się nie zgodzić. Szkoda, że dorosłym nie dają takich gogli.

Przystojny młody lekarz, który przedstawia się jako Mateusz, zaprasza mnie do gabinetu. Mówi, że czeka mnie biopsja mammotomiczna, i objaśnia, na czym będzie ona polegać. W znieczuleniu miejscowym pobiorą mi fragment zmiany, a jeśli będzie wystarczająco mała, to usuną ją próżniowo w całości. W jej miejscu zostawią znacznik, na wypadek gdybym potrzebowała operacji.

Zdejmuję koszulkę i stanik i kładę się. Półmrok panujący w sali rozświetlają ekran i lampka skierowana na moją pierś. Widzę pochylonych nade mną dwóch mężczyzn i kobietę. Gość z kamerą stoi gdzieś w nogach. Dostaję zastrzyk ze znieczuleniem i panowie zaczynają grzebać mi w cycu

wspierani obsługiwanym przez panią aparatem do USG. Po twarzy ciekną mi łzy.

– Boli? – niepokoju się przystojny Mateusz.

– Nie – mamroczę, pociągając nosem.

– Nerwy, tak?

– Mhm.

– Rozumiem. Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze.

Mój nowy maleńki lokator zostaje w całości wydłubany, a ja roztrzęsiona, zasmarkana i obandażowana czekam na korytarzu.

– Czy ma pani jakieś pytania – pyta przystojny Mateusz, gdy w końcu wychodzi do mnie z wypisem i zaleceniami.

– Co teraz?

– Teraz czekamy, za jakieś dwa tygodnie, może szybciej, będzie wynik histopatologii. Pani Ania, koordynatorka, będzie dzwonić.

– A jeśli to faktycznie rak?

– To będziemy panią leczyć. Zmiana była bardzo mała, wcześniej wykryta, udało nam się ją całą usunąć, to jest dobra wiadomość. Teraz trzeba cierpliwie poczekać.

Gdy wieczorem wkładam koszulkę od piżamy, dwunastoletnia blond głowa mojej córki pojawia się w nie-domkniętych drzwiach łazienki. Zerka na obandażowaną klatkę piersiową, którą niewystarczająco szybko zakrywam, i zaczyna płakać. Przytulam ją mocno.

– To nic takiego, Kalino – szepczę, próbując przekonać nas obie.

Moim celem przez te dwa tygodnie czekania na biopsję, a potem kolejne dwa na wynik histopatologii jest nie oszaleć. Nora Ephron, amerykańska scenarzystka i reżyserka znana między innymi z komedii *Kiedy Harry poznał Sally*, *Masz wiadomość* i *Bezszenność w Seattle*, wspominała, że kiedy jako dziecko mówiła rodzicom, co ją spotkało, prosili: „A teraz opowiedz to jeszcze raz, tylko tak, żeby było zabawnie”. Z tego narodziło się jej credo: „Jeśli poślizgniesz się na skórcie od banana, inni się z ciebie śmieją. Ale gdy opowiadasz komuś, że poślizgnęłaś się na skórcie od banana, to ty się śmiejesz”. Mam nadzieję, że z czasem uda mi się wyćwiczyć tę umiejętność, jednak początki są trudne. Więc staram się być zajęta. Wszystko, żeby tylko nie myśleć. Jadę z Kaliną do Gdyni na zdjęcia do serialu, w którym gra niewielką rolę, potem na festiwal podróżniczy, który wspieram organizacyjnie wraz z dziewczynami poznanymi kilka lat wcześniej na warsztatach fotograficznych. Nasza znajomość już dawno wyszła poza fotografię, więc bez oporów zwierzam im się, że chyba mam raka, i przez cały weekend dostaję od nich taką dawkę troski, wsparcia i dobrych słów, że gdy wracam pociągiem z Gdańska do Warszawy, uśmiecham się do siebie: bycie sam na sam z własnymi myślami, od kilku tygodni prowadzące mnie w najciemniejsze rejony mojej świadomości, wreszcie staje się nieco łatwiejsze.

Telefon w końcu dzwoni.

– Przyszły wyniki, zapraszam na wizytę do profesora we wtorek.

– A zdradzi mi pani, na co się szykować? Dobre te wyniki czy może to, że do profesora mam iść, znaczy, że jest źle?

– Nie, nie, spokojnie, profesor rozmawia ze wszystkimi piersiami. Nic nie umiem powiedzieć, tylko tyle, że wyniki są i że mam panią umówić. Czternasta może być?

– Oj, ja we wtorek akurat mam biopsję tarczycy, więc nie wiem, czy zdążę na czternastą, bo nie mam pojęcia, ile trwa biopsja bez ekipy telewizyjnej – żartuję, bo w całym tym napięciu ostatnich tygodni na stresowanie się tarczycą nie starczyło mi już emocji. – Da się na później?

– Przez telefon brzmiała pani najsympatyczniej ze wszystkich pacjentek – usprawiedliwia się z nasłania na mnie ekipy telewizyjnej. – Czternasta trzydzieści będzie okej?

– Jechać z tobą? – pyta Jola, moja przyjaciółka, której jako pierwszej mówię, co się dzieje.

– Paweł wziął wolne, także dzięki za propozycję, tym razem pojedę z nim. Ale niewykluczone, że będę miała jeszcze okazję skorzystać z twojego towarzystwa.

Pod gabinetem siedzi kilka kobiet – młode i stare, z włosami i bez. Rozmawiają cicho, czytają, skrolują telefony. Żadna nie wygląda na zestresowaną. Żadna oprócz mnie.

– Mogę wejść z mężem? Wie pan, potrzebuję pamięci zewnętrznej.

– Oczywiście, nie ma problemu – profesor mówi z lekkim obcym akcentem.

Zdażyłam wyczytać, że pochodzi z Macedonii. Rzuca okiem na leżące przed nim papiery i patrzy mi głęboko w oczy.

– Zgodnie z przewidywaniami ma pani złośliwego raka, ale podatnego na leczenie, no i wcześniej wykrytego

– oznajmia tonem zwiastującym ekscytującą przygodę, a ja nie wiedzieć czemu, czuję się trochę lepiej, bo przecież by się tak nie cieszył, jakby wiedział, że niedługo umrę. No i dobrze, że wyguglowałam ten BI-RADS, inaczej chyba bym właśnie zemdląła.

– Pańska żona dożyje setki, prędko się pan od niej nie uwolni – dodaje profesor, uśmiechając się jowialnie do Pawła.

– O nie! – odpowiadamy zgodnym jęknięciem.

Dalej padają jakieś nic niemówiące mi określenia. Zrazikowy. Inwazyjny. Luminalny. Słowa profesora docierają do mnie jak przez mgłę. Rozumiem tylko tyle, że czeka mnie operacja oszczędzająca, potem naświetlania i kilka lat zastrzyków w brzuch. Trochę jakby ugryzł mnie wściekły rak.

– A chemia? – dopytuję drżącym głosem.

– Nie będzie chemii.

– Uff, przyjemne się wylosowało – próbuję zażartować, a jednocześnie w mojej głowie szybko powstaje nowa skala i czuję, jak ogromny kamień spada mi z serca: rak, okej, niech będzie. Wszystko, tylko nie chemia.

– Zapraszam w przyszły wtorek na ósmą rano na konsylium. Proszę się zastanowić, czy nie chce pani usunąć całej piersi, wtedy nie będzie potrzebna radioterapia.

Z tonu jego głosu wnioskuję, że nie rekomenduje tego rozwiązania. I całe szczęście, bo „usunięcie” nie brzmi jakoś zachęcająco.

– Pani Ania będzie dzwonić z terminem operacji – dodaje.

Ze szpitala wychodzimy w milczeniu. Paweł trzyma mnie mocno za rękę. A może to ja jego? Idziemy do

pobliskiej kawiarni, zamawiamy kawę i szarlotkę. Siedzimy w ciszy. Nie płaczę. Chyba wyczerpałam limit łez.

– Przynajmniej nie będzie chemii – powtarzam niczym zaklęcie, dłubiąc widelcem w jabłkowej masie. – Operacja, naświetlania, trzy miesiące i będzie po sprawie.

Jest piętnasty października. Europejski dzień walki z rakiem piersi. Wszechświat ma przewrotne poczucie humoru.

* * *

Jesień zawsze przychodzi znienacka. Jednego dnia jeszcze jest ciepło, wystarczy rozpięta bluza i można włożyć spódnice bez męczenia się z rajtkami i krytymi butami; jeszcze cały dzień pracuję przy otwartym balkonie, z którego koty obserwują gołębie na dachu, a kolejnego budzę się pod niebem ciężkim od deszczowych chmur, wyciągam z dna szafy szalik i marzną w zapiętej pod szyję bluzie, kurtce, spodniach i w całym tym jesiennym rynsztunku. Koty jeszcze nie wiedzą, jeszcze drapią w drzwi balkonowe, żeby je wypuścić, i wracają po trzech minutach tylko po to, żeby po chwili znowu próbować sprawdzić, czy aby na pewno nie da się dłużej wysiedzieć na zewnątrz. Najwyraźniej nawet u nich nadzieja umiera ostatnia. Obietnice, które składałam sobie kilka tygodni temu, że nawet jak zrobi się chłodniej, będę codziennie wychodziła z domu, choćby na krótki spacer, chowają się wstydliwie pod kocem, pod który wpełzam punkt siedemnasta, a czasem nawet chwilę wcześniej – chwała bogom za pracę zdalną. Pojedyncze cieplejsze dni chłonę całą sobą, jakbym

mogła nacieszyć się nimi na zapas. Jeszcze moment, a świat ogarnie ciemność.

Jesień nie ułatwia przyjmowania złych wiadomości.

„Czy możemy zwołać posiedzenie sztabu kryzysowego? Żyćko postanowiło dać mi w pysk z półobrotu z najbardziej nieoczekiwanej strony. Potrzebuję dużo wina. I czarnego humoru” – piszę na Messengerze do Magdy i Haneczki, moich najwierniejszych towarzyszek doli i niedoli.

Muszę oswoić tę diagnozę, przegadać ją ze światem, znormalizować, byle znowu nie zacząć płakać po kątach. Potrzebuję innych, żeby pomogli mi nieść ten ciężar. Potrzebuję ich czasu, wiadomości i telefonów, obecności i odciągania uwagi. Podejrzewam, że niezależnie od tego, co wydarzy się potem, to właśnie ten etap – etap diagnozy – jest najtrudniejszy. To tu jest najwięcej stresu, niepewności i strachu. A ja potrzebuję, by były wokół mnie osoby, które otulą mnie niczym ciepły kocik w zimny, jesienny wieczór.

Umawiamy się na piątek u Haneczki przy sauvignon blanc, hummusie i oliwkach. Siedzę na leżaku i wyobrażam sobie, że jestem na plaży, a nie w dwupokojowym mieszkaniu z czasów wczesnego Gierka, wypełnionym džunglą roślin doniczkowych. Dokarmiając kabanosami Sheerę, mieszańca dobermana z przedszkolakiem z ADHD, czekam, aż dziewczyny opowiedzą, co u nich. Przerabiamy tematy zawodowe i rodzinne, nadrabiamy ploteczki o dawno niewidzianych znajomych. Nie spieszę się, czekam na odpowiedni moment.

W końcu przechodzi moja kolej.

– Słuchajcie. Zaraz wam powiem, o co chodzi, ale musicie mi coś obiecać. Daję wam pięć minut na ojojanie, łyzy i takie tam. Potem poproszę o czarny humor.

Z doświadczenia wiem, że uzalanie się nad sobą prowadzi mnie po równi pochyłej prosto w dół.

Po słowie „rak” świat się na chwilę zatrzymuje. Słysząc tylko miarowe uderzanie ogona Sheery o podłogę. Mokry nos szturcha moją dłoń, domagając się kolejnego kabanosa. W oczach dziewczyn widzę strach – nie jestem pewna, czy to ich własny, czy tylko odbicie mojego. Potem pada kilka soczystych przekleństw i zasypuje mnie lawina pytań.

– Słuchaj, a na tej operacji to co ci dokładnie wytną? No bo mówisz, że już ci wydłubali wszystko na biopsji. – Haneczka dźga wykałaczką oliwkę, a ja wzdrygam się na samo wspomnienie zabiegu.

– Mówią, że wytną dookoła wszystko, co zostało. To się tak ładnie nazywa, że oczyszczą łóżę. I jeszcze mają wyciąć węzeł wartowniczy, cokolwiek to znaczy.

– Łoży szyderców oczyścić się nie da, nigdzie się nie ruszymy – dorzuca Magda. – Daj znać, czy mamy wpadać do szpitala, czy masz na wszystko wysrane.

– Będę dawać znać na bieżąco, czy jeszcze żyję. Jest szansa, że nie zdążycie mnie odwiedzić, bo chyba tam długo nie trzymają. Ale jakby mnie przetrzymali, to poproszę was o jakąś kontrabandę.

– Masz to jak w banku. Czy ktoś wie, jak najlepiej przemycić wino na oddział? – pyta Haneczka, napełniając mi kieliszek.

– Na końcu będzie dobrze, zobaczysz, ale po drodze będzie chujowo. Będziemy cię pilnować, żebyś nie wpadła w czarną dziurę. A jak wpadniesz, to cię na kopach stamtąd wyciągniemy – obiecuje kilka minut później Magda.

Jak ja się cieszę, że je mam.

– ...i pamiętajcie, jakbym była umierająca, to skróćcie moje cierpienia, nie chcę dogorywać jak moja matka przez ostatnie dni w hospicjum – proszę i, wygrzebując solonym chipsem resztkę hummusu, czekam na propozycje.

– Poduszka?

– Wypchniemy cię z okna?

– Może zrobimy koktajl ze wszystkich leków, jakie mamy w domu?

– Wiem, przejadę cię na pasach, przecież w tym kraju nie tak łatwo iść za to do pierdła!

* * *

Moja mama umarła na raka płuc osiem lat po śmierci swojego ojca. Też paliła, a jakże, choć w przeciwieństwie do niego rzucała regularnie. Zaczęło się niewinnie: od kaszlu, na który internista wypisywał kolejne syropki, tabletki i antybiotyki. Przez ponad pół roku. W końcu mama uprzejmie, acz stanowczo, poprosiła o skierowanie na podstawowe badania: krew, moczu i rentgen klatki piersiowej. „A po co to pani?” – próbował oponować lekarz, ale widząc jej upór, machnął ręką. Zresztą był to chyba jedyny raz w jej życiu, kiedy ośmieliła się przeciwstawić osobie w białym kitlu.

Gdy poszła na prześwietlenie, nie zdążyła wyjść z przychodni, a już do niej dzwonili, że coś znaleźli. Trudno było nie znaleźć – największy guz był wielkości niewielkiej śliwki. Potem chemia, naświetlania, kolejna chemia i jeszcze następna. Pomiędzy – poprawy, kontrole, pogorszenia i tak w kółko. Mając w pamięci dość krótką onkoprzygodę mojego ojca, od dnia diagnozy postawionej matce każdy nieodebrany przez nią telefon, a było ich wiele – bo nie usłyszała, zapomniała, zostawiła telefon w torebce, spała – mój przerażony mózg traktował jako informację, że to już, że nie odbiera, bo umarła. Przez bite trzy lata. W ciągu tego czasu spędziłyśmy zylard godzin w ciemnych, wyłożonych boazerią korytarzach centrum onkologii. Aż w końcu przyszedł dzień, kiedy lekarz o zmęczonej twarzy i smutnych oczach bezradnie rozłożył ręce i powiedział:

– Pani Jadwigo, wyczerpaliśmy możliwości leczenia. Przykro mi, nie mam pani nic więcej do zaproponowania. Mogę jedynie wypisać skierowanie do hospicjum.

Jeszcze przez jakiś czas zajmowałam się nią w domu. Zamieszkałam na karimacie między jej łóżkiem a ryczącym telewizorem, który oglądała przez całą noc, bo nie mogła spać. Rano jechałam do pracy, a w ciągu dnia co chwila odbierałam telefony świadczące o tym, że łyka morfinę jak dropsy, przez co jej kontakt z rzeczywistością niebezpiecznie się rozluźniał. Czasy były przedpandemiczne, mój ówczesny pracodawca nie wierzył w pracę zdalną. Co gorsza byłam zatrudniona na B2B i nie mogłam wziąć L4 na opiekę, a nie było nas stać na to, żebym nie pracowała. Wracalam więc do niej wieczorem

i próbowałam namówić ją na zjedzenie czegokolwiek albo wytłumaczyć, że odpalanie papierosa przy koncentratorze tlenu to nienajlepszy pomysł. Niemal zapomniałam, jak wyglądają moje dzieci. Paweł wpadał co kilka dni podrzucić mi czyste ubrania.

Po kilku tygodniach stało się jasne, że długo tak nie pociągnę. Pewien jej znajomy, chwilowo bezrobotny, zaoferował, że zajmie się nią, gdy ja będę w pracy. Niestety dość szybko go wyrzuciła, bo śmiał rozmawiać przez telefon i załatwiać jakieś swoje sprawy, zamiast na niej koncentrować sto procent uwagi. No cóż, nie była szczególnie łatwą osobą. Kilka dni później zadzwoniłam do hospicjum. Zostaliśmy zapisani do kolejki i pełni wstydu niecierpliwie trzymaliśmy kciuki za rychły zgon obcych nam osób. Po tygodniu zwolniło się miejsce. Był koniec lutego. Pamiętam, jak pakowałam jej rzeczy ze świadomością, że ona już nie wróci do domu, i jak w trzyosobowej sali chowałam do szafki jej wiśniową puchówkę, wiedząc, że więcej się w nią nie ubierze, że równie dobrze mogłabym ją zabrać ze sobą i oddać pierwszej napotkanej potrzebującej osobie. W lodówce w jej mieszkaniu zostały żółty ser, masło i kawałek pomidora, w łazience rzeczy do prania.

– Mogę pani obiecać, że mama nie będzie cierpieć – powiedziała z troską w głosie lekarka, która nas przyjmowała.

Pamiętam, że miała długie, jasne włosy, siedziała na tle okna i przypominała mi anioła. Chętnie jej uwierzyłam. Bardzo potrzebowałam jej wierzyć.

– Gdy już będzie naprawdę źle, podamy jej tyle leków, żeby cały czas spała i nie czuła bólu – wyjaśniła.

Niestety, gdy przyszło co do czego, okazało się, że leki, które podają mojej mamie – od lat leczącej się psychiatrycznie i pochłaniającej potężne ilości najróżniejszych medykamentów – kompletnie nie działają. Może by i zadziałały, gdyby nie to, że dawki, które jej przysługiwały, były śmiesznie niskie. Widząc, jak się dusi, pielgrzymowałam od lekarza do lekarza, błagając, żeby je zwiększyli.

– Nie możemy dać więcej – powiedziała mi któraś z lekarek. – Co będzie, jak nam pacjentka umrze?

Nie pomagały prośby ani groźby, łzy ani racjonalne argumenty, z dnia na dzień było coraz gorzej. Goście, którzy wpadali odwiedzić mamę, wychodzili zapłakani po zaledwie kilku minutach, nie byli w stanie patrzeć na jej walkę o każdy oddech. To był moment, gdy zamieszkałam na krześle obok jej łóżka, a pielęgniarki dokarmiały mnie wielkanocną sałatką jarzynową. W końcu jedna z nich skierowała mnie do lekarza z innego piętra. Przyszedł, popatrzył i natychmiast wypisał większe dawki leków, oszczędzając mojej mamie cierpienie na ostatnie dwa dni tego, pożał się boże, życia. Kiedy w końcu umarła, to właśnie z nim załatwiałam formalności.

– Pani mama bardzo cierpiała – powiedział szczerze. – Bardzo mi przykro.

Mnie też było bardzo przykro. Przez kolejne pół roku budziłam się gwałtownie każdej nocy z uczuciem, że się duszę. Zawsze byłam zagorzałą zwolenniczką eutanazji, a to koszmarnie doświadczenie utwierdziło mnie tylko w przekonaniu, że jak przyjdzie czas, to chciałabym odejść na moich warunkach.

W pracy nawet nie próbuję ukrywać choroby. Wprawdzie pracuję z domu, a w biurze – używanym nam zresztą przez prawniczki obsługujące fundację – widujemy się raz na kilka tygodni, ale mam to szczęście, że moi współpracownicy są jednocześnie w gronie moich najbliższych znajomych i przyjaciół, a fakt, że wszyscy oprócz mnie są wolontariuszami, sprawia, że moje miejsce pracy jest pluszowe. Nawet nie wyobrażam sobie, jak ciężko byłoby pracować za darmo i po godzinach w toksycznym otoczeniu.

Najpierw mówię Kamili, która od czasu naszego wspólnego wakacyjnego wyjazdu do Anglii po trzecim roku studiów jest moją opoką, zna mnie na wylot i podnosiła po niejednym upadku, a od kilku lat zarządza u nas w fundacji komunikacją. Potem Paulinie, naszej prezesce. Reszta zarządu dowiaduje się na spotkaniu, stawiam im te same warunki co dziewczynom – maksymalnie pięć minut na ojojanie – i dorzucam na osłodę paczkę kruchych ciasteczek. Reakcja jest podobna. Szok i niedowierzanie, strach, a na końcu nieprzebrane pokłady ciepła i wsparcia. Kilka dni później Paulina przynosi mi dwie książki.

– Ta jest dla ciebie, to takie krótkie opowiadania pani, która zachorowała na raka, trochę pitu, pitu, ale bardzo pozytywne, podnosi na duchu. A tę ci pożyczam. Jest o tym, że nawet z najtrudniejszych przeżyć można wyciągnąć coś pozytywnego. No i jak ktoś pożycza książkę, to ma zobowiązanie, że musi ją oddać, więc nie może umrzeć – mówi pół żartem, pół serio i ścisza mnie mocno.

Wymusza na mnie obietnicę, że jak nie będę w stanie pracować, to pójdę na zwolnienie.

* * *

Jakieś dwa lata wcześniej dostałam skierowanie do pulmonologa, bo po covidzie learkę pierwszego kontaktu zanepokoił mój rentgen, na którym wyszło coś, czego nie powinno tam być, co koniec końców szczęśliwie okazało się niegroźne, ale przy okazji zlecono mi kilka innych badań i po paru miesiącach usłyszałam od precudownej, mocno wiekowej pulmonolożki słowa: „Do dupy ta pani spirometria”. W ten sposób dowiedziałam się, że jednak nie „taka moja uroda”, jak próbowali mi wmówić liczni lekarze przez kilka ostatnich dekad, tylko mam całkiem konkretną astmę, na którą wreszcie dostałam leki. Okazało się, że można wejść na czwarte piętro, nie wypływając sobie płuc; że można przebiec nie tylko pięć, ale i dziesięć i piętnaście kilometrów, nie zatrzymując się co kilka minut, żeby rozpaczliwie, niczym ryba wyjęta z wody, próbować złapać oddech; że można oddychać pełną piersią, być spokojniejszą, bardziej dotlenioną i wyspaną. No i że las, którym zawsze uwielbiałam oddychać, można poczuć jeszcze mocniej.

Ale ostatnio coś znowu jest nie tak. Od wakacji męczy mnie kaszel. Zrobiłam nawet test na krztusiec, jednak biorąc pod uwagę, że szczepiłam się kilka miesięcy temu, wynik był o kant dupy potłuc. Dzień po diagnozie raka idę do internisty. Lekarz wygląda na niewiele starszego od mojego piętnastoletniego syna. Przypomina mi tytułowego bohatera

serialu z wczesnych lat dziewięćdziesiątych o genialnym nastolatku: *Doogie Howser, lekarz medycyny*.

– Panie doktorze, kaszlę. Od kilku miesięcy. To jest taki kaszel z odruchem wymiotnym na końcu, bardzo męczący.

– Rozumiem. Jakież objawy oprócz tego? Gorączka?

– Nie.

– Choroby współistniejące?

– Mam astmę i jaskrę. I depresję. A, i raka piersi, wczoraj dostałam diagnozę.

Młodzieniec blednie, robi minę, jakby miał się popłakać z zakłopotania, i chyba przez chwilę się zastanawia, którądy uciec. W końcu każe mi powiedzieć o kaszlu onkologom i drżącymi rękami wypisuje ziołowy syropek oraz skierowanie na *cito* na rentgen, mamrocząc coś o piersiach, co lubią przerzucać się do płuc. Szczerze mówiąc, liczyłam na antybiotyki.

– Gdzie idziesz? – pyta Paweł, gdy jak zwykle wieczorem zbieram się na pilates.

Nie zamierzam rezygnować z zajęć, póki nie muszę, rak czy nie, mój kręgosłup źle znosi bezruch.

– A jak sądzisz? – pytam.

– Nie wiem, urnę wybierać?

Parskam śmiechem. Mąż z poczuciem humoru to skarb. Zwłaszcza jeśli to czarny humor.

Na konsylium nie ma profesora. Musiał iść operować. W jego pokoiku zastaję przystojnego Mateusza, jeszcze dwóch lekarzy i wytatuowaną, drobną blondynkę.

– To pani napuściła na mnie ekipę z kamerą. – Natychmiast się domyśliłam.

– Tak, to ja – przyznaje ze śmiechem pani Ania.

– A, ten materiał, co tu kręcili? No, niezły początek kariery – komentuje jeden z lekarzy.

– Wiadomo, takie role są najłatwiej płacone!

Żartujemy przez chwilę ze świecenia cyckami w telewizji. Powtarzają mi to, co już wiedziałam. Operacja oszczędzająca, radioterapia, hormony.

– Te hormony to podobno taką igłą jak dla konia, to prawda?

Zdażyłam przeczytać co nieco na ten temat i opis zastrzyków w brzuch igłą grubości szydełka nieco mnie przeraził.

– Spokojnie, najpierw operacja – odpowiada przystojny Mateusz.

– No tak, zawsze mogę nie przeżyć i nie będzie się czym martwić.

– Ojej, co pani tak od razu, nikt tu nie będzie umierał.

– Przepraszam, czarny humor to mój mechanizm obronny – tłumaczę się i przechodzę do najważniejszego tematu.
– Czy będę mogła wyjechać na święta i na sylwestra?

– Nooo, tak, zaraz, co my teraz mamy? Październik, operacja, potem trzeba poczekać, ale tak, bo albo przed świętami jeszcze panią naświetlimy, albo poczekamy do powrotu. Może pani jechać.

Oddycham z ulgą. Wyjazdy ładują mi baterie, są jak oddech po długim biegu, a święta w tym roku układają się tak, że bez straty szkoły i przy niewielu dniach urlopowych można wyszarpnąć ponad dwa tygodnie.

Pani Ania idzie ze mną do pani Agnieszki, asystentki profesora, od której dostaję naręczne formularzy do wypełnienia i zaleceń do przeczytania.

– Dwudziestego dziewiątego października rano pojedzie pani na scyntyografię węzła wartowniczego, potem od razu do nas. Trzydziestego będzie operacja i pewnie trzydziestego pierwszego panią wypiszemy.

– Czy powinnam coś wiedzieć, coś wziąć? Nie wiem, ręcznik, widelec czy coś?

Panie cierpliwie rozwiewają wszystkie moje wątpliwości.

– A jeszcze takie jedno pytanie, nie chcę zabrzmieć roszczeniowo, ale jestem wegetarianką, czy mam sobie przywieźć wałówkę, czy...

– Mamy dietę wegetariańską, wegańską, do wyboru – odpowiada pani Agnieszka z udawaną nutką urażonej dumy i puszcza do mnie oko. – Już zapisuję, bo to trzeba wcześniej zamówić.

W domu sprawdzam, co to ta scyntygrafia. Dowiaduję się, że chodzi o badanie, w którym wstrzykuje się pacjentowi izotop, a specjalna kamera śledzi, jak on się rozchodzi po ciele, tworząc obraz pracy narządów. W moim przypadku ma pokazać, który węzeł chłonny jest pierwszy na drodze spływu chłonki od guza, czy raczej miejsca po guzie. Ten węzeł to właśnie węzeł wartowniczy, jest do wycięcia. Jeśli nic w nim nie ma, to oznacza, że komórki rakowe nie zdążyły się rozpełznąć. Nie do końca wiem, co będzie, jeśli coś w nim znajdą, ale nie skupiam się na tym nadmiernie. W końcu mój guzek był mały, wcześniej wykryty, nie ma szans, żeby znaleźli coś więcej.

Jeśli wierzyć internetowi, badanie jest bezbolesne (nie licząc ukłucia), ale trzeba poczekać kilka godzin od zastrzyku do badania.

Wieczorem, siedząc w wannie, zauważam ciemną, asymetryczną kropkę przykrywającą częściowo pieprzyk na moim udzie. Próbuje zdrapać. Nie udaje się. Namydlam ją obficie i zmywam pianę. Nadal jest. Zaledwie miesiąc temu byłam na kontroli pieprzyków i mogłabym przysiąc, że ten wyglądał normalnie! Czuję nagle, jak bardzo jestem... przerażona!? Nie, to nie to. Zmęczona, a nawet wyczerpana stanem ciągłej czujności. Od kilku dni każda dolegliwość, każdy ból – głowy, brzucha, nawet kolana – zapala w mojej głowie wielki czerwony neon z napisem TO NA PEWNO PRZERZUT. Jeszcze tylko czerniaka mi do kompletu brakuje. No nic, pokażę to lekarzom przed operacją.

* * *

– Kawy? – rzuca pani Kasia i nie czeka na odpowiedź.

Chodzę do niej od dwudziestu lat i szczęśliwie zdjęła ze mnie decyzyjność. Nie tylko w sprawie kawy i ciasteczek, które przede mną stawia, ale też w sprawie włosów. Trafiłam do niej jeszcze jakoś na studiach dzięki Kamili. Ustaliłyśmy warunki brzegowe (ma być ładnie) i od tej pory przychodzę, siadam z kawą i ciasteczkami i, podczas gdy ona mnie strzyże, nadrabiamy zaległości towarzyskie. Cesała mnie do ślubu, przeszła ze mną choroby i śmierć moich rodziców, ciąży i porody, wie wszystko o moich dzieciach, o kolejnych pracach, przeprowadzkach, podróżach. Gdy piętnaście lat

temu urodził się Maciek i trafiliśmy na dwa tygodnie do Centrum Zdrowia Dziecka, poszłam do niej dzień po wyjściu. Byłam też u niej w szczycie pandemii, nie pamiętam nawet, czy aby na pewno na legalu. Podczas gdy wszyscy trzymali się na dystans i mówili do siebie zza maseczek, pani Kasia powitała mnie szerokim uśmiechem, postawiła przede mną kawę i ciasteczka i zapytała, co słychać. Pamiętam, jak bardzo byłam jej wtedy wdzięczna. Wnosi w moje życie spokój i normalność. Sprawy z włosami dzieją się przy okazji, są skutkiem ubocznym.

– Co słychać? – pyta, myjąc mi głowę.

– Aaa, no, nieciekawie, raka mam – odpowiadam, nie owijając w bawełnę, i streszczam pokrótce wydarzenia ostatniego miesiąca.

Pani Kasia pierwszy raz, od kiedy ją znam, milknie na bardzo długą chwilę. Głos wraca jej dopiero, gdy siedzę na fotelu, a ona sprawnie operuje nożyczkami przy moim uchu.

– Jak dzieci to przyjęły? – pyta.

Dobrze wie, że wolę konkrety zamiast głaskania po główce.

– Nieźle. Powiedziałam im, że to nie taki rak, jak mieli moi rodzice, że na tego się nie umiera. Zapowiedziałam, że będę miała operację i mogę się trochę źle czuć, być zmęczona, i że pewnie potrwa to kilka miesięcy, że tata będzie potrzebował od nich więcej wsparcia, bo może się tak wydarzyć, że ja nie będę miała siły. Przyjęły do wiadomości. Nie wiem, czy zrobiło to na nich jakieś wrażenie, na pewno nic nie okazały. Jak to nastolatki...

– A Paweł jak?

– Dobrze. Na szczęście wszedł od razu w tryb zadaniowy i dostarcza czarnego humoru. Wie, czego mi potrzeba. Myślę, że się stresuje, bo wjechał taksówkarzowi pod Biedrą w lustерko, ale poza tym jednym incydentem nic po sobie nie pokazuje.

Gadamy jeszcze o pierdołach, o pracy, szkole, dzieciach i wakacjach.

– To co, widzimy się jakoś na początku roku, jak już będzie po wszystkim – uśmiecha się ciepło na pożegnanie. – Trzymam kciuki, będzie dobrze!

Weekend przed operacją spędzamy w Brukseli. Paweł leci we wtorek na konferencję, a ja dolatuję w piątek i przez te dwa dni udaję, że jestem kimś innym, gdzieś indziej i cała ta onkohistoria mnie nie dotyczy. Jest wyjątkowo ciepło – jak na koniec października, na Brukselę i na nasze wyjazdy. Zwykle przyciągamy deszcze i chłody, a tym razem spacerujemy w jesiennym słońcu i siedzimy późnym wieczorem w kawiarnianym ogródku w koszulkach z krótkimi rękawkami. Widocznie trzeba na raka zachorować, żeby mieć ładną pogodę na wyjeździe – przemyka mi przez głowę.

* * *

– Jak przygotowania?

Rak czy nie, Jolka dzwoni regularnie.

– Wczoraj kupiłam sobie piżamę do szpitala.

– Piżama do szpitala to wyzwanie. Też muszę kupić, bo mam tylko koszulki na ramiączkach. – Jolkę czeka wycięcie tarczycy.

– No właśnie, ja też miałam tylko takie, a czytałam gdzieś, że najlepiej rozpinaną. Więc kupiłam koszulę i spodnie. Myślałam, że to wcale nie jest piżama, tylko takie dresy szerokie, ale nic innego mi się nie podobało. Chodzenie w piżamie wśród obcych ludzi jakoś się nie mieści w moim systemie wartości.

– Rozpinana piżama to dla mnie w ogóle upadek jako człowieka – stwierdza Jolka. – No i ja nie umiem spać w spodniach. Te moje koszulki są takie do kolan.

– A to ja przeciwnie, nie umiem bez spodni, bo mnie kolana uwierają, kanciaste są i się obijają o siebie. Nawet po cesarkach odmówiłam wkładania koszul nocnych.

– A jak samopoczucie? Jutro operacja, tak?

– Jutro scyntygrafia i przyjęcie do szpitala, pojutrze operacja. Na razie kończę tematy zawodowe i wpadam w panikę, że nie zdążę ze wszystkim.

– Priorytety. Ty jesteś najważniejsza – przypomina stanowczo Jolka.

– Wiem, wiem. Tylko coś zjeżałam, wyliczając diety dla dziewczyn na wyjazd, a dostaliśmy na to dofinansowanie i cofnęli mi rozliczenie.

– A, to gorzej.

* * *

Gdy wieczorem przed pójściem do szpitala leżę w wannie, zerkam z przyzwyczajenia na udo i mój podejrzany pieprzyk. Znikł! No cóż, jedno zmartwienie mniej.

Do szpitala zabieram dwie książki, nowo kupioną chyba nie do końca piżamę, wałówkę i laptopa, żeby jeszcze przed

operacją trochę popracować. Rano w dniu przyjęcia Paweł zawozi mnie najpierw do Międzylesia, gdzie jest klinika specjalizująca się w medycynie nuklearnej. Wstrzykują mi izotop. W oczekiwaniu aż zacznę być radioaktywna, siedzimy w kawiarni, gadamy o pierdołach, zastanawiamy się, gdzie jechać na święta, i jemy jagodzianki.

W szpitalu zakwaterowują mnie w dwuosobowej sali z panią koło siedemdziesiątki, wokół której wszyscy skaczą, tytułując ją panią doktor. Odcinam się. Nie jestem typem korytarzowego gawędziarza, co to się zapoznaje ze wszystkimi wokół. No i nie do końca rozumiem, dlaczego miałabym zaprzyjaźnić się z kimś tylko dlatego, że chorujemy na to samo. Zresztą to rzadka okazja, żeby mieć czas wyłącznie dla siebie. Książka, słuchawki z podcastem, domykanie tematów fundacyjnych i drzemka – na tym skupiam się pierwszego dnia. Wieczorem dostaję *prikaz* niejedzenia po północy i niepicia po czwartej nad ranem. Kolacja wprawdzie jest o siedemnastej (nigdy nie zrozumieć szpitalnych zwyczajów), ale zapas jogurtów, wafli ryżowych i mandarynek utrzymuje mnie przy życiu.

Potrzebowałam tych dwóch tygodni, które minęły od diagnozy, na wyciszenie. Usunęłam z telefonu Facebooka i Instagrama, żeby choć przez chwilę dać odpocząć zmysłom. Teraz, leżąc w szpitalu, instaluję je z powrotem i wracam na media społecznościowe z onko-coming outem. Wrzucam go wieczór przed operacją i idę spać.

Budzę się w nocy kilka razy. Kaszel nie daje mi spokoju i nawet nad ranem muszę napić się wody, żeby odpuścić. No cóż, zasady są po to, żeby je łamać.

Każą mi wstać o nieludzkiej porze – czemu obchody są tak wcześnie? – i umyć się gąbką nasączoną specjalnym płynem. Udaje mi się wynegocjować, żebym nie musiała myć włosów. Myłam je wieczór przed pójściem do szpitala, a że są długie i gęste, dłużej by schły, niż trwałby zabieg. Zresztą i tak dostaję nietwarzowy czepek.

Zanim jeszcze trafiaam na blok operacyjny, zostaję zaproszona do pokoju zabiegowego.

– Musimy pani założyć kotwicę, żeby profesor wiedział, gdzie dokładnie jest znacznik – wyjaśnia mi przystojny Mateusz.

Z pomocą drugiego lekarza, i korzystając z USG, wbija mi w pierś imponującej długości cieniutki pręt. Gdy w końcu otwieram oczy i patrzę, jak go przycinają, żeby nie wystawał aż tak bardzo, chce mi się śmiać. Wygląda to abstrakcyjnie, jakbym była laleczką voodoo. Pomyśleć, że normalnie nie jestem w stanie patrzeć, nawet jak mi krew pobierają.

Młody pielęgniarz prowadzi mnie na trzecie piętro. Tam kładą mnie na Jezuska: na plecach, z ramionami rozpostartymi na specjalnych podpórkach i unieruchomionymi rękami.

– Coś tu wyszło w płucach – mówi anestezjolog, przeglądając jakieś papiery. – Trzeba będzie zrobić tomografię. Ale proszę się tym nie przejmować – dodaje, a ja natychmiast zaczynam się przejmować; wiadomo, na pewno przerzut.

To moja pierwsza operacja w narkozie. Wcześniej miałam kilka zabiegów – prostowanie przegrody nosowej, usuwanie pieprzyków, laserową korekcję wzroku i dwie cesarki, ale wszystko w znieczuleniu miejscowym. Teraz trochę się stresuję.

– Każą ci liczyć od dziesięciu i zaśniesz – powiedział mój bardziej doświadczony mąż.

Miał niedawno jednoczesną gastroskopię i kolonoskopię w znieczuleniu ogólnym. Mam nadzieję, że nie tą samą rurą, a jeśli jednak tak, to że przynajmniej w dobrej kolejności. W każdym razie czekam na to liczenie, a tymczasem rozmowa toczy się gdzieś pomiędzy tematem dzieci i podróży i nagle się budzę, nie wiedząc, gdzie jestem i co się dzieje.

– Jak się pani czuje? – pyta jakiś głos.

– Jeść! – odpowiadam, zanim zdążę się zastanowić, co się w ogóle wydarzyło.

Chwilę później odwożą mnie do mojej sali. Biorę do ręki telefon, żeby dać znać Pawłowi, że jestem już po. Widzę, że jak mnie nie było, to pisał:

„*Wiadomość usunięta*”

„Cmok!”

„Już jestem po” – piszę. „Co mi napisałeś i usunąłeś?”

„To nie ja, to autokorekta” – odpisuje. „Chciałem napisać ‘cmok’, ale poprawiło na ‘cmentarz’. Czarny humor czarnym humorem, ale uznałem, że jednak bez przesady”.

Sprawdzam, jak się czuję. Poza ssaniem w żołądku odczuwam też efekty narkozy – przyjemną senność i błogie uczucie „mam wszystko w dupie”. Nie czuję za to żadnego bólu. Postanawiam się zdrzemnąć jeszcze chwilę. Budzę się kilka godzin później na prawym, świeżo zoperowanym boku. Nadal nic mnie nie boli.

Odpalam Facebooka. Mój post ma już kilkadziesiąt polubień i komentarzy. Piszą zarówno bliscy znajomi, jak i ci, z którymi

nie rozmawiałam od lat. Dostaję też sporo wiadomości prywatnych. Wszystkie pełne współczucia i wsparcia. Poza „dasz radę”, „kto, jak nie ty”, „moja ciotka/przyjaciółka/mama miała raka i teraz biega maratony”, „rak nie ma z tobą żadnych szans”, „pokonasz dziada” i „jesteś wojowniczką” jest kilka takich, które przykuwają moją uwagę na dłużej.

„Też mam za sobą leczenie, rak szyjki macicy. Chemię i naświetlania skończyłam 11 miesięcy temu” – pisze moja koleżanka z harcerstwa.

„Przeszłam pełną ścieżkę zdrowia i leczenia w związku z rakiem piersi” – dowiaduję się od znajomej z kręgów podróżniczych.

„Jestem po trzech operacjach, do tego 25x radio i 16x chemia” – informuje dziewczyna, z którą pracowałam prawie dwie dekady temu.

„Dwa lata temu miałam operację oszczędzającą, potem radioterapię, pisz śmiało, jakbyś miała jakieś pytania” – to żona mojego kumpla z liceum.

Jak mogłam o tym nie wiedzieć? Żyłam w przekonaniu, że w moim otoczeniu wszyscy są zdrowi, przynajmniej onkologicznie. Jak już się dowadywałam, że ktoś ma raka, zwykle był to taki rak, na którego się umiera. Spora część mojej rodziny umarła na raka. Wszyscy znajomi, o których wiedziałam, że zachorowali, prędzej czy później (zwykle prędzej) umarli. Z jednej strony od początku powtarzam (głównie sobie samej i dzieciom), że na raka już się nie umiera, że to choroba przewlekła, może trochę uciążliwa, ale mimo wszystko wyleczalna. Z drugiej strony do tej pory nie miałam na to namacalnych dowodów.

Po południu dzwoni jeszcze kilka osób, od których nie spodziewałam się telefonów. Wszyscy ze słowami wsparcia i pocieszenia. Jestem zaskoczona i wzruszona tak szeroką reakcją. Z miłym poczuciem ciepła w sercu – jakby każda z tych osób dorzucała swoją gałązkę do ogniska, przy którym się grzeję – odpływam na kolejne drzemki.

Na Messengerze pisze także dziewczyna, z którą lata temu zerwałam znajomość, gdy się zorientowałam, że drenuje mnie emocjonalnie. Pamiętam, że trudno mi to przyszło, bo wewnętrzny imperatyw bycia miłą zmusza mnie do przestrzegania pewnych zasad społecznych. Tak jest również tym razem: odpisuję uprzejmie, że dziękuję za troskę i ciepłe słowa. W odpowiedzi dopytuje o mój numer. Odkładałam telefon na bok, a po powrocie do domu radzę się mojej córki, co by zrobiła, jakby ktoś, z kim nie chce gadać, napisał do niej z prośbą o numer telefonu.

– Nie odpisałam. – Kalina wzrusza ramionami i wydaje się nieco zdziwiona, że sama na to nie wpadłam.

Idę za jej radą. Postanawiam nie dopuszczać do siebie osób, które mi szkodzą. Chyba pierwszy raz w życiu daję sobie dyspensę i dbam o własne samopoczucie bardziej niż o to, żeby innym było miło. Mam nadzieję, że ta umiejętność zostanie ze mną na dłużej.

Ze szpitala wypuszczają mnie dzień po operacji. Paweł urywa się z pracy, żeby po mnie przyjechać.

– Po co tu mamy panią trzymać, świetnie się pani czuje, a jutro i tak nikogo nie będzie, bo wszyscy na groby jadą – mówi lekarka przygotowująca dla mnie wypis. – We wtorek proszę przyjechać na kontrolę do profesora. Może się pani

zbierać chłonka; jakby jej za dużo było, to proszę przyjechać tu, prosto na oddział, odciągniemy.

* * *

Święto Zmarłych kojarzy mi się trochę z sylwestrem. I jedno, i drugie wymusza przeżywanie pewnych emocji na zawołanie. Za jednym i drugim nie przepadam.

Jest coś przerażającego w milionach ludzi pielgrzymujących od cmentarza do cmentarza, niezależnie od pogody, wewnętrznej potrzeby czy nastroju. Pańska skórka w trzydziestu smakach, kielbaski z grilla i świecące badziewie dla dzieciaków, walka o lepsze miejsce parkingowe, nieważne, że na trawniku, byle jak najbliżej bramy, rodzinna rywalizacja o to, kto postawi większy znicz, w kształtach i kolorach, za które, przysięgam, straszylabym po nocach, kto kupi większy wieniec sztucznych kwiatów pachnących odświeżaczem powietrza, cały ten grobbing napawa mnie odrazą.

A przecież zaduma nad śmiercią i tęsknota za tymi, którzy odeszli, przychodzi zwykle nieoczekiwanie.

Wtedy, gdy moja ręka sięga po telefon, kiedy chcę zadzwonić do mamy i opowiedzieć, co mi się właśnie zdarzyło, i przypominam sobie, że choć jej numer mam wciąż wpisany w komórkę, należy już do kogoś innego.

Albo gdy kroję warzywa na sałatkę jarzynową, choć wiem, że nigdy nie wychodzi tak dobra jak ta mojego taty.

Kiedy słyszę, jak ktoś gra na gitarze, jak ten chłopak, którego znałam ponad trzydzieści lat temu.

Wraz z zapachem racuchów, który otulał mieszkanie ciotki, zawsze gwarne, pełne głosów, które wciąż słyszę, a których też już nie ma.

Chciałabym być pochowana w lesie. Bez grobu, zniczy i kwiatów, bez obowiązku odwiedzania w zimny listopadowy dzień. Gdy za mną zatęsknisz, podejdź do drzewa i mocno je przytul, ja tam będę.

„Nie stój płacząc przy mej trumnie
Tu nie leżę. Nie ma tu mnie.
Jestem lekkim wiatrów tchnieniem.
Jestem jasnym śniegu lśnieniem.
Jestem słońcem w ziarnie zboża.
Jestem tęczą na przestworzach.
W ciszy porannego przebudzenia
Jestem iskrą podniecenia
Ptaków wzlatujących z gniazd.
Jestem światłem nocnych gwiazd.
Nie rozpaczaj przy mej trumnie.
Nie umarłem. Nie ma tu mnie! ”.

* * *

Po powrocie do domu zaglądam nieśmiało pod plastry. Na pierś mam niewielką bliznę, ledwie kilka szwów. Drugą, niewiele większą, mam pod pachą. To po wyciętym węźle wartowniczym.

¹ Clare Harner, *Immortality*, wiersz opublikowany w czasopiśmie „The Gypsy”, XII 1934 rok, tłum. Andrzej P. Zajączkowski.

Czuję się zaskakująco dobrze. Po cesarkach rana mocno ciągnęła i dojście do siebie zajęło mi ładnych kilka tygodni. Tym razem, gdyby nie zakaz lekarki, byłabym gotowa lada moment wrócić na pilates. Muszę jednak poczekać, żeby wszystko się ładnie zagoiło.

Odpowiadam na komentarze i wiadomości z Facebooka, wpada Magda na kawę i przynosi balony w kształcie serca, Paweł zerka na mnie uważnie, upewniając się raz po raz, czy niczego mi nie brakuje, odbieram jeszcze kilka telefonów.

I to już? – przemyka mi przez głowę. Przede mną miesiąc zastrzyków przeciwzakrzepowych (dobrze, że Paweł i Kalina mają w sobie pierwiastek sadystyczny, będą je robić na przemian), a potem naświetlania. Szybko minie i niedługo zapomnę, że w ogóle cokolwiek się wydarzyło.

* * *

„Kawa?” – piszę do Jolki kilka dni później.

Siedzenie w domu zaczyna mi doskwierać. Trochę żałuję, że wzięłam zwolnienie. Robota się nawarstwi, trzeba będzie nadrabiać, a ja w sumie nie czuję się jakoś bardzo niezdarna do pracy.

„Koniecznie! Gdzie sobie życzysz?”

„Gdziekolwiek w centrum, będę potem do szpitala jechać, a to zewsząd daleko. Wrzenie?” – proponuję jedną z moich ulubionych kawiarni. „Koło 12?”

„Dobra. A jak Ty tam dojedziesz? Może po Ciebie przyjechać? Bo chyba nie tramwajem?”

„Nieee. Tramwajem sobie przyjadę. Mobilna jestem”.

„Pięć dni po operacji? Nie zgadzam się!”

„Ale ja na cycki miałam operację, nie na nogi!”

„Za wcześniej na takie wyprawy”.

„Oj tam. Za wcześniej to było, jak w czwartek poszłam do apteki, bo się chciałam przewietrzyć, i mało nie zesłam, ale tylko dlatego, że była kolejka na dwadzieścia minut stania. Ale wczoraj byłam z Pawłem na spacerze i było w porządku. Muszę chodzić, bo kręgosłup powiedział, że już nie mogę leżeć i czytać cały dzień. Dziad jeden”.

Jeszcze parę dni później siedzę przed laptopem. Miałam kupić suplementy dla kotów, ale jak to zwykle bywa zawędrowałam w zupełnie inne rejony internetu.

– Paweł, zobacz! Są bilety na Andrew!!!

Mam na imię Ola i jestem anonimową Andrewholiczką.

Andrew Scott skradł moje serce kilka miesięcy wcześniej, gdy poszliśmy do kina Muranów na *Vanyę*, inscenizację *Wujaszka Wani* Antoniego Czechowa, w której Andrew gra wszystkie osiem postaci. I robi to tak, że za każdą z osobna powinien dostać Oscara. Zapragnęłam zobaczyć *Vanyę* na żywo i regularnie sprawdzałam, czy nie grają go może w którymś z brytyjskich teatrów. I właśnie się okazało, że grają. Tyle że nie w Londynie, ale w... Nowym Jorku!

– Zobacz, od marca do maja, sześć dni w tygodniu, w niektóre dni dwa razy dziennie, ale i tak już jakieś resztki biletów zostały! – gorączkuję się.

– W Nowym Jorku? Zwariowałaś? Stać nas na to?

– Paweł patrzy na mnie trochę ze zdziwieniem, trochę z rozbawieniem.

– Ej, ja mam raka! Muszę korzystać z życia, a co jak nie będę miała drugiej szansy? – gram, nie po raz pierwszy zresztą i nie do końca serio, moją onkokartą. Paweł wzdycha.

– No dobra.

– To co, Nowy Jork na majówkę? – piszczę z radości.

We wtorek podczas kontroli profesor ogląda blizny, kiwa z zadowoleniem głową i odciąga dwie wielkie strzykawki płynu.

W sobotę budzę się z uczuciem, jakbym miała pod pachą sporej wielkości jabłko. Jadę na oddział, gdzie odciągają mi czterdzieści mililitrów. I potem znowu w poniedziałek rano, tym razem osiemdziesiąt. W środę doktor patrzy na balon pod moją pachą i pyta, czemu nie przyjechałam wcześniej. Odpowiadam, że już niemalże mieszkam u nich na korytarzu.

– To ja pani dren założę – mówi.

Nacina gułą skalpelem. Chłonka tryska na stół. Lekarz wtyka mi pod pachę rurkę odprowadzającą płyn do plastikowej butelki i każe wrócić w piętek.

„Jak się trzymasz?” Co kilka dni dziewczyny kontrolują moje samopoczucie.

I słusznie.

„Raz lepiej, raz gorzej. Miałam mini atak paniki nad ranem, że na pewno mam raka, w sensie, że mam bardziej, ale skupiłam się na tym, co, jeśli faktycznie mam, i wyszło mi, że będę musiała posprzątać rzeczy i ogarnąć robotę przed śmiercią. Także już mi lepiej, zadaniowość zadziałała”.

„Ha, ha, wygrałaś konkurs na zamartwianie się. Osoba, która ma raka, martwi się, że może mieć raka. A fizycznie jak?”

„Trzecia wizyta w szpitalu od soboty. Pan doktor założył mi dren. Mam, kurde, galę w piątek, jaka kreacja pasuje do drenu?”

„Taka z kieszeniami. Nic się nie poprawiło?”

„Paweł się ze mnie śmieje, że tak się tym rakiem przejęłam, że trzeciego cycka postanowiłam wyhodować”.

„Zapasowy zawsze się przyda. Pożyczę ci narzutkę z futerka, to zakryjesz górę” – proponuje Haneczka.

„Spoko, taki cycek pod pachą, trochę nieporęczny, ale nie wszystko musi mieć funkcję użytkową. Możesz śmiało pozować jako Syrenka warszawska” – podpowiada Magda.

„Na razie w kieszeni noszę butelkę, w której się ten syf zbiera, już ze trzy razy pomyliłam z telefonem”.

„A dużo się zbiera? Nie pytam w kontekście, że sobie do ucha nalejesz, odbierając telefon, ale w kontekście upierdliwości problemu...”

W piątek budzę się rano, zerkam na butelkę i widzę, że chłonka wymieszana jest z krwią. Nic dziwnego, czułam w nocy, jak się nabijam na tę nieszczęsną rurkę, pewnie coś tam zmasakrowałam. W ogóle średnio sobie z tym drenem radzę. Butelka mi się gubi, cieknie. W nocy kilka razy budziłam się w kałuży. A i sama rurka jest niezbyt wygodna, nie mogę się doczekać, kiedy się jej pozbędę.

Grafik na ten dzień mam napięty jak struna. Rano lekarz, potem z moim starszym bąbelkiem do ortopedy,

z powrotem do domu, prysznic, kiecka, kilka kartonów maskotek fundacyjnych i różnych drobiazgów, których listę przygotowałam parę dni wcześniej, żeby na pewno niczego nie zapomnieć, i najpóźniej koło siedemnastej powinnam być w Centralnym Domu Technologii w samym centrum miasta, gdzie po raz kolejny organizujemy naszą doroczną galę.

W drodze do szpitala widzę, że świeci mi się kontrolka paliwa. No tak, miałam zatankować poprzedniego dnia, ale nie zdążyłam. Oby udało mi się dociągnąć do wieczora, najchętniej zatankowałabym, wracając z gali.

Gdy wchodzę do szpitala, dzwoni telefon.

– Dzień dobry, pani Olu, są wyniki histopatologii, zapraszam we wtorek na konsylium.

– O, dzień dobry, pani Aniu, ja właśnie u was. Za dieście minut mam wizytę. Doktor ma dostęp do tych wyników? Powie mi?

– Tak, oczywiście, ale na konsylium zapraszam tak czy inaczej. Do zobaczenia!

Wchodzę do gabinetu i kładę się na leżance. Lekarz nachyla się nad moją pachą.

– Oj, ale sobie pani tu coś rozkrwawiła.

– Nie radzę sobie najlepiej z drenem.

– No dobrze, to go pani wyjmę, może już się ta chłonka opanuje.

Kilka chwil później pielęgniarka zakleja mi ranę plasterkiem, a doktor siedzi przy komputerze.

– Podobno jest już mój wynik, zerknie pan? – proszę.

Chwila ciszy.

– No niestety, jest przerzut w węźle wartowniczym, potrzebna będzie kolejna operacja – jego głos jest pełen troski i współczucia.

Biało przed oczami. Gula w gardle. Łzy.

– Ale... czy ja będę kiedyś jeszcze mogła grać w siatkówkę? – mówię pierwszą rzecz, która przychodzi mi do głowy.

– No jasne, ręki pani nie ucinamy, prawda, pani Basiu? – zwraca się do pielęgniarki.

– Ja bez węzłów w ping-ponga grałam – uśmiecha się pani Basia wspierająco.

– A czy to znaczy, że będę miała chemię?

– Wszystkiego dowie się pani na konsylium, ale tak. W przypadku przerzutów podajemy chemię.

Do samochodu idę zapłakana, udaje mi się opanować pod szkołą Maćka i u ortopedy, ale gdy wracam do domu po rzeczy, znów zanoszę się płaczem, chyba jeszcze bardziej niż wtedy po mammografii. Czuję się oszukana. To nie tak miało być. Jak to, kurwa, przerzut? A co się stało z „malutka zmiana, wcześniej wykryta”? Przecież miałam nie mieć chemii! Halo! Nie tak się umawialiśmy – mam pretensje nie wiadomo do kogo.

Nie wierzę w karmę. W całe to pieprzenie, że „wszystko jest po coś” i „nic nie dzieje się bez powodu”. Jasne, z perspektywy czasu zawsze można dopasować fakty do naszej naprędce wymyślonej teorii wszechświata. Sama często tak robię, bo dzięki temu łatwiej unieść gruz, który trzeba w życiu przerzucić. Ale jeśli mam być szczerą, to karma przypomina raczej gównu rzucone w wentylator. Bryzga na oślep w tych, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w zasięgu.

Nie wierzę, że dostałam raka po coś. Żebym bardziej doceniła życie albo zdała sobie sprawę z własnej śmiertelności. Każdy, kto mnie zna, wie, że ze śmiertelnością jestem pogodzona od dawna, a jej świadomość motywuje mnie do niezostawiania marzeń na emeryturę i kupowania biletów do teatru w Nowym Jorku. Tak, bez raka też bym kupiła.

Nieprawdą jest, że cierpienie uszlachetnia. A co cię nie zabije, wcale cię nie wzmocni, co najwyżej poturbuje i zostawi z traumą. Powtarzanie tych bzdur jest po prostu szkodliwe.

Nie wierzę też, że rak to kara za coś. Jakoś nie widzę starca z białą brodą rozdającego złośliwe guzy dyktatorom i mordercom, a ja może i nie jestem bez grzechu, ale gdzie mi do naprawdę złych ludzi!

Moje żale, łzy i przekleństwa trafiają w pustkę, która – jak to pustka – nie odpowiada.

Biorę szybki prysznic, wrzucam sukienkę i kosmetyki do torby, pakuję fundacyjne graty, nie zaglądając do listy i, jak się potem okaże, zapominając paru rzeczy, a potem wciąż zapłakana biegnę do samochodu.

Na Wiślostradzie patrzę, jak wskaźnik paliwa pokazujący, ile kilometrów mogę jeszcze przejechać, zmienia się z dwucyfrowego na jednocyfrowy. Dojadę do Centralnego Domu Technologii na oparach, zatankujemy wieczorem – postanawiam. Jestem na miejscu. Wskaźnik pokazuje, że zostało mi paliwa na cztery kilometry. A wyświetlacz nad wjazdem do parkingu podziemnego informuje, że jest pełny.

Mam do wyboru szukać miejsca przy okolicznych ulicach, ryzykując, że potem nie odpalimy, albo zatankować teraz. Wiedząc, że parkowanie o tej porze w centrum Warszawy to dość karkołomne zadanie, wybieram bramkę numer dwa.

Gdy dojeżdżam na stację, wyświetlacz pokazuje okrągłe zero.

Wściekła, zasmarkana i roztrzęsiona tankuję, wracam i dzwonię po Pawła, który jest już na górze.

– Zejdź, proszę, zabierz też jakieś dzieci, żeby pomogły z rzeczami. Weźmiesz samochód i poszukasz miejsca parkingowego, ja muszę się przebrać.

Czekając, próbuję się jakoś ogarnąć i przestać płakać, wysmarkuję nos, wycieram oczy i czyszczę tusz, który spłynął mi po policzkach. Mimo to i tak muszę wyglądać strasznie, bo gdy tylko wchodzę, Kamila z Pauliną natychmiast zaciągają mnie do łazienki, dopytując, co się stało. Opowiadam, a potem myję dokładnie twarz, przebieram się, robię makijaż i z najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki mnie stać, wychodzę rozmawiać z ludźmi.

* * *

Podczas konsylium tym razem jest więcej osób. Ten sam lekarz, u którego byłam kilka dni temu, wyjaśnia mi jeszcze raz, że w węźle wartowniczym znaleziono półtoracentymetrowy przerzut i, żeby upewnić się, że komórki rakowe nie przedostały się dalej do organizmu, trzeba wyciąć więcej węzłów.

– I musi być potem chemia?

– Tak, niestety musi, wszystkiego się pani dowie, ale to jeszcze nie teraz, najpierw operacja.

– A czy będę mogła wyjechać na święta i sylwestra? – wracam do mojego ulubionego pytania.

– Co my teraz mamy? Połowa listopada, operacja jak najszybciej, pewnie za tydzień, dwa. Chemię możemy zacząć dopiero w styczniu, ale nie wiemy, jak się będzie u pani goiła rana po operacji. Teraz chyba się sporo tej chłonki zbierało; wytniemy więcej węzłów, to może zbierać się więcej... No, nie powiem pani w tym momencie, zobaczymy, jak będzie.

Wychodzę z sali i kucam pod ścianą. Paweł gdzieś zniknął, chyba poszedł do toalety. Na parapecie siedzi jakaś dziewczyna. Chowam twarz w rękach i, choć bardzo staram się nie płakać, z moich oczu płyną łzy. Z sali wynurza się pielęgniarka. Prosi dziewczynę do środka. Wstaję, żeby się odsunąć z przejścia, a wtedy pielęgniarka patrzy na mnie, zamyka drzwi za dziewczyną, podchodzi i przytula mnie mocno.

– Proszę pani, będzie dobrze, my tu nie takie przypadki mieliśmy. Tylko niech się pani nie poddaje, trzeba myśleć pozytywnie, to jest najważniejsze.

„Mała, o której masz to konsylium? Jedzie ktoś z Tobą w końcu?” – pyta Magda na Messengerze.

„Właśnie wysłałam, Paweł ze mną przyjechał. Jeszcze nie mam terminu operacji, ale profesor obiecał, że szybko zrobi, żeby nie przeciągać. No i jednak potem będzie chemia”.

„Przytulam. Kochanie, jak trzeba, to trzeba. Życzysz sobie prostą blond perukę czy kurs motania turbanu?”

„Jeszcze nie wiem. Ale będę sobie takie rzęsy piętnastocentymetrowe doklejała”.

„Różowe, z perełkami”.

* * *

Ostatni tydzień przed drugą operacją jest jak przegląd kolejnych etapów żałoby. Szok. Zaprzeczenie. Przygnębienie. Złość. Wiem, że muszę wypłakać cały mój smutek i wyrzucić z siebie wściekłość, i im prędzej to zrobię, tym lepiej. Płkanie ani niezgoda na to, czego nie mogę zmienić, nic mi nie pomogą. Muszę przejść z trybu „dlaczego ja?” do „co dalej?”. Chwilę to trwa, ale wreszcie przychodzi akceptacja. Czy to wszystko jest po coś? Nie, ale skoro już się przytrafiło, to niech chociaż coś z tego wyciągnę. Jak mawia mój świeżo nawrócony na optymizm mąż: „Dla mnie to nawet lepiej”. Jeszcze nie wiem, dlaczego lepiej, ale coś wymyślę. Kto wie, może książkę napiszę.

Jednocześnie natchodzi mnie refleksja, że łatwiej jest chorować niż towarzyszyć w chorobie. Z chorowania moich rodziców pamiętam mój zwierzęcy strach i obezwładniającą bezradność. Gdy mama była w hospicjum, miałam napady paniki. Po jednym Paweł musiał odebrać mnie z pracy, bo nie byłam w stanie utrzymać się na nogach – odpływałam, wymiotowałam i cała się trzęsłam. Myślałam, że jak kiedyś sama zachoruję, będę siedzieć skulona w kącie, płacząc non stop. A teraz, gdy już tu dotarłam, strach nie jest wysoko na

liście moich emocji. Płakałam na początku, chyba bardziej ze zdziwienia i bezradności, płakałam, gdy dowiedziałam się o przerzucie i chemii, bo nie na to się nastawiłam, ale ile można płakać? W ogóle nie zajmuję się swoim chorowaniem bez przerwy, mam ciekawsze rzeczy do roboty. Ba, jestem gotowa zostać wyznawczynią teorii spiskowych: nic mnie nie boli, nie mam żadnych objawów, a oni wysyłają mnie na kolejną operację. Widział ktoś kiedyś tego raka?

* * *

„Dziewczyny, wstępnie proponuję sobotę na zebranie sztabu kryzysowego. Musimy, bo się udusimy, a spotkajmy się, póki Ola jeszcze może pić” – proponuje tym razem Magda.

„Jak nie będę mogła pić, to mnie dobijcie. Jeśli nie wrzucą mi operacji w tym tygodniu, to jestem zwarta i gotowa”.

„A jak ci wrzucą, to zrobimy na izbie przyjęć. Nadal cisza?”

„Nadal. Podobno jest problem z dostępnością anestezjologów. Zadzwońię do nich jutro jeszcze raz, będę tą babą, co wydzwania, może pomoże. A w ogóle to poszłam wczoraj na chwilę na siatkę sprawdzić, czy jeszcze mnie tam pamiętają. Byłam tydzień temu i to mnie pocieszyło. No więc poszłam wczoraj i nieopatrznie zostałam popatrzeć na jeden set. Ale mi się przykro zrobiło, że prędko tam nie wrócę”.

„A na pilates też nie możesz? Czy inne rozciąganie? Cokolwiek byle iść na zajęcia” – sugeruje Haneczka.

„Próbowałam ostatnio w domu zrobić psa z głową w dół, ale mi się jakieś coś zrobiło, takie sznurki napinają mi się

pod pachą i nie jestem w stanie, pokażę wam w sobotę, bo to fascynujące. Marek, mój fizjo, mówi, że to sznury limfatyczne i mi je pęka”.

„Może za wcześnie po prostu. Będzie na to czas. Na razie spacer? Wiem, że cię nosi, ale jak się nie da, to się nie da...”

„No, spaceruję. Dzisiaj byłam na spacerze na jednej gali i teraz jadę podrzucić dziewczynom jakieś rzeczy przed drugą”.

„Nogami możesz coś porobić, na przykład ćwiczenia z gumami. Mój fizjoterapeuta mnie tego kiedyś nauczył i mówił, że on czasem daje jakiegolwiek, nawet niepotrzebne ćwiczenia, bo inaczej ludziom psychika siada. Jednemu, co był cały w gipsie, kazał się nauczyć żonglować”.

„W piątek idę do Marka, zobaczymy, co poradzi. Żeby nie było: z kręgosłupem, który nadal napierdala”.

W sobotę przy winie i oliwkach okazuje się, że tym razem Magdzie wyszło coś na USG. Chyba niegroźne, brodawczak czy coś, jakby kurzajka w cycku, ale dostała skierowanie na biopsję i, jak można się spodziewać, dość mocno się wystraszyła. Haneczka wzdycha.

– Napisałam do mojej byłej asystentki, tej, co została astrolożką. I pytam: „Ty, co się odwała w twojej branży?”. A ona mi na to: „O panie, wszystkie planety w najgorszych układach, co chwila pełnia albo zaćmienie, kosmos się wali i to potrwa”.

– Ale długo jeszcze tak potrwa? Trzy stulecia?

– Mniej więcej. Koniec poznasz po tym, że się zjawia jeźdźcy Apokalipsy, a z nieba zaczną padać żaby i węże.

– Podobno powoli się zbliża ku końcowi, jeszcze ze dwa lata. Zaczęło się pandemią. Plagę, wojny i zarazy mamy już zaliczone. Co tam jeszcze było?

– Jeszcze Trumpa wybiorą – prorokuję ponuro.

– Jest ryzyko. Potem tylko plaga głodu, pożar i będzie z bańki.

Przy okazji skarżę się dziewczynom na kaszel, który nadal mnie męczy.

– A czytałaś ulotkę od antydepresantów? – pyta Haneczka.

Czytam natychmiast po powrocie do domu. Wśród skutków ubocznych, jako żywo, jest kaszel. Następnego dnia umawiam się na wizytę do psychiatrki i zmieniamy leki. Jeszcze w tym samym tygodniu odbieram wyniki tomografii. Zmiana na płucach okazuje się niegroźna – pozostałości po jakimś zapaleniu.

* * *

Na początku grudnia melduję się po raz kolejny w szpitalu. Witają mnie jak stałą klientkę i dostaję to samo łóżko, co poprzednio. Wyobrażam sobie, że jestem w sanatorium.

Czytam książkę i podjadam Maltesersy, gdy do sali wchodzi ładna dziewczyna o długich rudych włosach, plus minus w moim wieku.

– Cześć, jestem Anka. – Wyciąga do mnie rękę.

– Oła, miło mi – odpowiadam, wyjmując jedną słuchawkę z ucha.

– A to Mateusz, mój mąż. – Wskazuje na sympatycznego brodacza z włosami związanymi w kitkę, który właśnie wchodzi do pokoju z walizką w rękę.

Anka jutro ma mieć obustronną mastektomię z rekonstrukcją. Opowiada mi, że wykryła sobie guzka w lipcu i od tego czasu tuła się po lekarzach. Dopiero niedawno jakaś lekarka na prywatnej wizycie poleciła jej „mojego” profesora. Słucham jej opowieści o braku empatii i szacunku do pacjenta wśród lekarzy, z którymi się zetknęła, o skandalicznych niedopatrzeniach i o traktowaniu jej jak uciążliwego petenta.

Dociera do mnie, że miałam mnóstwo szczęścia.

Gadamy pół nocy, chichrając się jak nastolatki na koloniach. W kilka godzin opowiadamy sobie rzeczy, o których mało komu mówiłyśmy. Najwyraźniej wzajemnie przypadamy sobie do gustu. Szybko się orientuję, że to silna, konkretna babka, taka zosia samosia, która do tej pory radziła sobie doskonale, ogarniała życie, dom, męża i dzieci zdecydowanie lepiej niż ja. Przed wyjściem do szpitala zadbała absolutnie o wszystko: od zakupów i gotowania, przez przygotowanie swojej działalności na dłuższą nieobecność, po jazdę na mopie bez trzymanki. Taki typ. Ja tam lubię się dzielić obowiązkami, ale, jak mawiał mój ulubiony serialowy lekarz – doktor House – każdemu jego mojo. Jednak gdy opowiada o kolejnych wizytach, badaniach i konsyliach, głos jej się wyraźnie łamie. Widząc, jak reaguje na personel szpitala i na jakiegokolwiek rozmowy o tym, co przeszła przy stawianiu diagnozy, daję jej numer do mojej psychiatriki.

– No co ty, przecież ja dam radę! – protestuje.

– A weź się nie wygłupiaj – odpowiadam. – Jak idziesz do dentysty, to też taką twardzielkę zgrywasz? Ja jak się

dowiedziałam, że jestem chora, to już szczęśliwie byłam na antydepresantach, ale przezornie zwiększyłam sobie dawkę. I wiesz, jasne, nadal chwilami nie jest łatwo, jak wtedy, kiedy się dowiedziałam o przerzucie. Musiałam swoje wypłakać, ale na co dzień to mam taki przyjemny teflonik, od którego wszystko się odbija. Dzięki temu cały ten onkogruz jest odrobinę lżejszy. Serio, polecam, nie katuj się tak, dziewczyno.

Zapisuje numer, choć wygląda na nieprzekonaną. Jednocześnie na moje próby zaklinania rzeczywistości w kierunku „wszystko będzie dobrze” odpowiada sceptycyzmem.

– A skąd wiesz? Może się okaże, że wcale nie będzie? Może będziemy miały przerzuty? Albo chemia nie zadziała? Albo...

Jej argumenty za tym, że czeka nas rychła śmierć, najpewniej w męczarniach, zdają się nie mieć końca. Postanawiam podzielić się z nią moją filozofią życiową.

– Wiesz, całe życie czekałam, aż coś jebnie. Nawet jak wszystko było dobrze, to ja byłam w trybie czuwania, z podniesioną gardą, czujna jak surykatka. Nieustannie się rozglądałam, co może pójść nie tak. I w końcu kilka lat temu stwierdziłam, że nie mogę tak dłużej, że to pochłania strasznie dużo energii. I może w końcu coś jebnie, ba, na pewno w końcu coś jebnie, nawet już jebło, skoro tu jesteście, ale jebłoby niezależnie od tego, czy bym się zamartwiała, że to się wydarzy, czy nie – podsumowuję i podwijam rękaw mojej pseudopizamy, pokazując wytatuowaną na przedramieniu surykatkę. – Teraz ona się rozgląda. A ja się będę martwić, jak już będzie czym.

Rano Anka pierwsza jedzie na operację. Czekam kilka godzin na moją, przysypiając.

Limfadenektomia.

Limfamadafakaktomia.

Limfifarafaktomia...

„Jak tam w szpitalu?” – pingnięcie telefonu wyrывa mnie z drzemki. Jolka.

„Wesolutko. Do pierwszej wczoraj gadałyśmy. Anestezjolog, który przyszedł nas odpytać, był tak dziwny, że upewnialiśmy się potem u pielęgniarki, czy go zna, czy to może pacjent, co się urwał z innego oddziału”.

„A wiadomo, o której Cię wezmą?”

„Najpierw koleżankę wzięli, tylko ona ma podwójną mastektomię z rekonstrukcją, więc zdążę umrzeć z głodu”.

„Mastektomia to z pół dnia zajmie”.

„Ona ma bardzo małe cycki, to może choć trochę krócej. Wczoraj chcieliśmy namówić ich na zmianę kolejności, ale jakoś się nie zgodzili...”

Wreszcie przychodzi moja kolej.

– Jak to jest z tymi węzłami – dopytuję jeszcze w ostatniej chwili. – Bo ich tam jest sporo, prawda? Jak typujecie te do wycięcia? Wszystkie jak leci? Czy: w szeregu zbiórka i co drugi wystąpi?

– One są ułożone warstwowo, wycinamy tylko pierwsze piętro, reszta zostaje.

– A jak się okaże, że w nich też coś jest, tniecie dalej?

– Nie, wtedy już tylko chemia.

– No ale i tak mam mieć chemię...?

– Tak, ale w zależności od tego, czy coś tam znajdziemy, czy nie, to trochę inny schemat.

Nie do końca przekonuje mnie to tłumaczenie, zwłaszcza że w międzyczasie poczytałam o lekarzach, którzy odchodzą od wycinania węzłów, po prostu podają chemię, ale w końcu to nie ja kończyłam medycynę, a na socjologii o leczeniu raka nie uczyli, więc pozostaje mi zaufać nauce, znowu położyć się na stole operacyjnym, zapewnić lekarzy, że ja to ja (w sali obok inną operację ma pacjentka o takim samym nazwisku) i odpłynąć w narkozę. Zdążyłam polubić ten stan.

Tym razem dren dostaję od razu. Wbrew obawom po tej operacji też nic mnie nie boli i jeszcze tego samego dnia mogę całkiem sprawnie podnosić rękę. Moja sąsiadka nie ma tyle szczęścia. Słyszę, jak nocą jęczy z bólu, a leki przeciwbólowe, które dostaje, powodują u niej mdłości. Nawet gdy w końcu pozwalają nam jeść, nie jest w stanie niczego przełknąć.

Gdy szykuję się do wyjścia, przychodzi rehabilitantka.

– Niech pani przełoży obrączkę na drugą rękę, i zegarek też, od teraz już nie może pani nic tu nosić. I masować trzeba dwa razy dziennie, zaraz pani pokażę jak. Do spania proszę sobie kupić taki klin i spać z ręką w górze. I jak pani coś w ciągu dnia robi, siedzi, czyta, telewizję ogląda, to też klin pod rękę. Pobieranie krwi i mierzenie ciśnienia tylko z lewej. I żadnych tatuaży już z tej strony.

Patrzy na mnie groźnie, a ja robię zawiedzioną minę. Przy operacji chyba uszkodzili mi jakiś nerw, bo nic nie czuję od pachy do łokcia, i nie powiem, żeby nie przemknęło

mi przez głowę skorzystanie z okazji i zrobienie tam nowej dziary.

– Nie można brać gorących kąpeli, sauna odpada – kontynuuje rehabilitantka tonem nieznoszącym sprzeciwu.
– Nie dźwigać, tą ręką maksymalnie dwa kilogramy może pani podnieść.

– A sport? – wbijam się, nie bez trudu, w jej słowotok.

– Tak, oczywiście, jest zalecany. Najlepiej chodzenie z kijkami, rozciąganie, ale absolutnie żadne obciążanie, deski ani pompek nie robimy, jak rower, to tylko miejski, żaden góral, żeby się na tej ręce nie opierać. Drzwi ciężkie, też sobie wyrobić nawyk, że lewą pani otwiera.

– I to ile czasu tak?

– No jak to ile? Do końca życia, proszę pani.

Zegarek wraca na prawą, jak tylko rehabilitantka wychodzi z pokoju. Klin po pierwszej nocy ciskam w kąt szafy.

– Ej, a ręka to ile waży? – pyta przy śniadaniu Ośka, kolejna z moich przyjaciółek, która pilnuje, żebym nie schowała się pod kamieniem i nie zapłakała na śmierć. – Bo chyba więcej niż dwa kilogramy, ja bym odrąbała.

Marek, do którego idę niedługo po wyjściu ze szpitala, uspokaja mnie.

– Jakby ci wycięli wszystkie węzły, to tak, musiałabyś dużo bardziej uważać. Ale nie wycięli. Zasadniczo wszystkiego mamy w organizmie za dużo. Te, co zostały, przejmą funkcję tych brakujących i będziesz normalnie funkcjonować. Powolutku, nie rzucaj się od razu na dźwiganie ciężarów, rozszerzaj sobie aktywności i sprawdzaj, czy nic się nie dzieje. Ale zobaczysz, dobrze będzie.

– Żyć normalnie – potwierdzają jego opinię chirurdzy, do których chodzę na odciąganie chłonki.

Na razie żyję na tyle normalnie, na ile się da, z rurką wystającą spod pachy, butelką wsadzoną do kieszeni i siniakami po nieudanych próbach założenia wenflonu, przez które wyglądam chyba trochę jak ofiara przemocy domowej („Ładne pani ma żyły, tylko pękają”). Kilka razy dziennie gubię butelkę od drenu („Od wina byś nie zgubiła” – słusznie zauważa Jolka). To w sumie jedyna niedogodność. No, może jedna z dwóch, bo po trzydziestu dniach zastrzyków przeciwnakrzepowych miałam dzień przerwy, a potem operację i kolejne trzydzieści dni zastrzyków i teraz mój brzuch jest pełen siniaków i zgrubień. Poza tym czuję się na tyle dobrze, że nie mogę się doczekać powrotu do normalnej aktywności. Śni mi się, że biegam i chodzę na pilates. Czuję się trochę jak wtedy, kiedy przestałam jeść mięso i przez kolejne pół roku miałam sny o smalcu i parówkach.

Chorowanie, gdy człowiek źle się czuje, ma gorączkę, coś go boli, ma mdłości, jest paradoksalnie dużo łatwiejsze. Wiadomo: trzeba wziąć leki, położyć się i przeczekać. Organizm się domaga. Chorowanie, gdy nic nie boli, nie ma się żadnych objawów i nawet zaraz po operacji jest się wściekle głodną, nic nie puchnie i można machać operowaną ręką w każdą stronę, a jednocześnie nie należy podnosić nią nawet swojego lżejszego kota, ma w sobie coś z lizania cukierka przez papiera. Bardzo wyrafinowana tortura. Nie żebym chciała nagle mieć jakieś objawy, ale po prostu wreszcie po latach zaczynam rozumieć, co to znaczy „rak nie boli”.

Anka dzwoni kilka dni po moim wyjściu ze szpitala.

– Jak pojechałaś do domu, to mi dokwaterowali taką babę, co cały czas oglądała tureckie seriale. I komentowała na głos. Myślałam, że oszaleję! – skarży się. – A w ogóle to ja ci muszę podziękować.

– No co ty, za co?

– Za to, że mnie namówiłaś na psychiatrę. Sama w życiu bym się na to nie zdecydowała, zawsze sobie radziłam ze wszystkim, ale to, co się dzieje teraz, chyba mnie przerosło.

Wiem, że to już nie lata osiemdziesiąte, kiedy do psychiatry chodzili tylko wariaci, i że w mojej banieczce „większa połowa” zderzyła się z depresją i lekami. Ale wiem też, że nadal są tacy, co to – „nie takie rzeczy żeśmy ze szwagrem...”, „ja nie dam rady?”, „potrzymaj mi piwo” – dźwigają ciężar świata na własnych barkach i przez myśl im nie przejdzie poprosić o pomoc. Też tak kiedyś miałam. Nie polecam.

* * *

Węzły okazały się czyste. Słyszę o tym od profesora podczas kontroli. Nie myślałam, że aż tak można się ucieszyć, kiedy wytną ci coś zdrowego. Swoją drogą nadal nie rozumiem, jak to możliwe, że w dobie podróży kosmicznych i sztucznej inteligencji ludzie nie są w stanie stwierdzić, czy coś tam jest, zanim zabiorą się za wycinanie.

Tak czy inaczej czeka mnie cały pakiet atrakcji, oczywiście z chemią na czele. Na pocieszenie pozbywam się drewnu. Przez dwa tygodnie, które minęły od operacji, zgubiłam go tyle razy, że wstyd się przyznać, a ponieważ często nie

zauważałam, że mi się odczepił i rurka zasysała płyn z powrotem do pachy, to jestem przekonana, że w miejscu wyciętych węzłów mam trochę żwirku i kocich kłaczek. Dostaję też zielone światło na wyjazd na święta i na sylwestra. Marne to pocieszenie, ale czegoś się trzeba chwycić.

Przy okazji ustalania dalszych kroków mówię pani Ani, że w maju muszę wyjechać, bo z okazji, że mam raka, kupiliśmy bilety do teatru w Nowym Jorku, i pytam, jak (no bo przecież nie „czy”) da się to z chemią pogodzić.

– Oczywiście, wszystko się da, pani Olu! – odpowiada pani Ania. – I jeszcze jedno. Proszę zapamiętać. Już pani nie ma raka, wycięliśmy.

